

Droga przez piekło

22 czerwca 1941 – 17 stycznia 1945

21 czerwca 1941 roku. Kończyła się wiosna, nadciągało lato. Upłynął rok od nocy wielkiej rosyjskiej deportacji i naszej ucieczki z transportu na Syberię. Następnego dnia, 22 czerwca, krótka wiadomość nadana przez radio po niemiecku wprawiła nas w osłupienie. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Niewiarygodne! Przyjaciele, którzy przybiegli do nas, potwierdzili tę informację. Siedzieliśmy razem przy odbiorniku skamieniali ze zgrozy, słysząc głosy nazistowskich przywódców, między innymi Hitlera, który cieszył się z błyskawicznego postępu armii. Wszyscy płakaliśmy. Czuliśmy się zagubieni i nie wiedzieliśmy, co robić. Uciekać? Ale dokąd? Mimo wszystko mieliśmy nadzieję, że Rosjanie wyślą prawdziwą armię, która stawi czoło nazistom. Ta, która tu była i strzegła granic, to tylko zwiadowcy – myśleliśmy – gdyż ogromna Rosja nie da się pokonać. Teraz już rozumieliśmy, dlaczego rodziny urzędników opuściły Polskę. Od pierwszych dni wojny setki tysięcy Rosjan rzuciły się do ucieczki. Tłoczyli się w pociągach, konfiskowali wszelkie pojazdy, zostawiali swój dobytek, odpychając

ZILA RENNERT

Polaków, którzy też chcieli uciekać. Wszyscy panicznie bali się Niemców. Niewielu udało się uciec. Niemiecki marsz zmiotł tysiące osób z niezmierzonej ukraińskiej niziny. Nazistowski *Blitzkrieg* działał z pełną mocą.

Nastąpiła okupacja niemiecka. Odczułam ją głęboko we własnym ciele, tysiąc razy umierałam ze strachu o moich bliskich, przyjaciół, o siebie samą. Chcę opisać ten czas, kiedy byłam świadkiem całkowitej zagłady jednego narodu i częściowej eksterminacji kilku innych. Jeszcze dziś trudno mi uwierzyć, że to wszystko było prawdą. Wiem, że będzie mi brakować słów, aby pokazać tę apokalipsę. Zwykle słowa nie wystarczą, by oddać potworność tego, co się stało. I nawet mocne słowa nie są w stanie wyrazić grozy tylu straszliwych wydarzeń.

Prawdziwy cud – jeszcze większy niż przeżycie tego pogromu – polega na tym, że ocaleni byli w stanie powrócić do zwykłej egzystencji, z jej mniejszymi i większymi problemami, z apetytem na życie i pragnieniem zapomnienia. Ale wystarczy jedno słowo, jeden gest, by znów wzdrygali się z strachu i krzyczeli głosem z tamtych czasów.

Armia niemiecka wkroczyła do Lwowa. Po raz pierwszy przyjrzelśmy się jej z bliska. Jakaż to różnica w porównaniu z armią radziecką, którą widzieliśmy, gdy wkraczała do Korolówki! Była to prawdziwa armia zwycięzców. Widząc ich defiladę, w nieskazitelnych mundurach, w zgodnym rytmie, od którego drżała ziemia, uzbrojonych po zęby, z nowymi błyszczącymi karabinami, zrozumieliśmy ich ogromną siłę. Czołgi jadące przed piechotą wymownie ostrzegały przed wszelką próbą oporu. Ludność cywilna aż się kuliła przerażona tą manifestacją siły. Po armii we Lwowie pojawiło się nieubłagane SS, które natychmiast przystąpiło do swojej śmiercionośnej pracy i jak szarańcza spadło na ludność żydowską, polską i rosyjską. Niszczyło na swojej drodze wszystko, nieustępliwie, systematycznie, dokład-

nie, metodycznie, w sposób naukowy i zarazem nieludzki. Wkrótce na murach wywieszono dekrety antyżydowskie w języku niemieckim i polskim. Przez radio informowano o zakazach, których złamanie było karane śmiercią. Każde nowe prawo stawało się nieodwołalnym nakazem. Polakom, a przede wszystkim Ukraińcom dano wolną rękę, by polowali na Żydów. Wyjście na ulicę oznaczało dla nich wyrok śmierci. Niezależnie od płci i wieku byli nagabywani, ośmieszani, bici, zaciągani do więzienia, gdzie po torturach, bez wyroku, wykonywano na nich egzekucje. Już po pierwszych akcjach liczba osób, które zniknęły, była niewiarygodna. Przyjaciółka, która przyszła do nas (założyła chustkę, by wyglądać na Polkę), opowiadała straszne rzeczy. Od pierwszego dnia wielu naszych przyjaciół padło ofiarą łapanek. Nie mieliśmy o nich żadnych wieści. Niemcy rozpuszczali pogłoski, że ludzie ci zostali tymczasowo zatrudnieni do pilnych prac w administracji. Chcieliśmy w to wierzyć i uczepiliśmy się tej myśli, ale dobrze wiedzieliśmy, że prześladowania odbywały się naprawdę. W tropieniu Żydów nazistom pomagali ukraińscy i polscy szmalcownicy, którzy umieli „rozpoznać Żydka” na pierwszy rzut oka.

A jak „rozpoznawało się Żydka”? Po wyglądzie i po zachowaniu. Wygląd jest „wrodzony”: aksamitne spojrzenie, kręcone włosy, kształt nosa itd. Zachowanie, ukształtowane przez wieki prześladowań, było „nabyte”: niepewny chód, spuszczone wzrok, bojaźliwe rozglądanie się na boki, pochylone plecy, jednym słowem to, co zdradzało poczucie zagrożenia spowodowane przez nieustanne zaczepki i represje. Wszystko to sprawiało, że Polakom tak łatwo było rozpoznać Żydów.

Ja, z moim małym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi, jasnymi oczami i blond włosami miałam wygląd całkowicie słowiański. Prędzej niż mąż czy córka mogłam zaryzykować wyjście na ulicę po niezbędne sprawunki.

Bardziej podejrzany niż wygląd był mój rosyjski akcent, ponieważ Polacy każdy obcy akcent brali za żydowski. Muszę dodać, że ten rosyjski akcent daje się słyszeć niezależnie od tego, jakim językiem mówię; jedynym wyjątkiem jest niemiecki, którym władam z prawdziwym wiedeńskim akcentem – nabyłam go jeszcze za czasów nauki szkolnej w Austrii. W czasie wojny stanowiło to dla mnie wielki problem. Na dodatek Polacy mylili niemiecki z jidysz.

Mimo zagrożenia chodziłam po zakupy na targ. Polskie targi były bardzo malownicze. Chłopki w marszczonej spódnicy o żywych kolorach, przepasane białymi, czerwonymi lub niebieskimi fartuchami, w chustkach w kwiaty na głowie, przynosiły produkty w wiklinowych koszykach. Siedząc na ziemi, sprzedawały owoce, warzywa, masło, jajka, sery, drób w klatkach. Panował wesoły gwar, każda przekupka zachwalała swój towar. W normalnych czasach lubiłam ten świat, tak kolorowy i pełen życia. Ale teraz na każdym kroku jedno słowo, gest czy spojrzenie mogło mnie zdradzić i narazić na śmierć. Nie miałam najmniejszych wątpliwości – wiedziałam, że zaginieni już pożegnali się z życiem. Wychodziłam więc z bijącym sercem, przeniknięta lękiem. Ale mężowi, który bardzo się niepokoił tym, że wychodzę, mówiłam mimo wszystko, że niczego się nie obawiam, że nic mi nie grozi. Trzymałam się prosto i pewnie, byłam uśmiechnięta. Pierwsze wyjście zakończyło się sukcesem, nikt na mnie nie zwrócił uwagi i wróciłam z koszykiem pełnym zakupów.

Po jakimś czasie uliczne łapanki stały się rzadsze, ale jednak ciągle się zdarzały. Dowiedzieliśmy się na przykład, że zniknęła nasza znajoma, kobieta wybitnie piękna i elegancka, o całkowicie aryjskim wyglądzie. Wtedy dotarło do nas, że wszyscy Żydzi, niezależnie od wyglądu, mogli zostać złapani, rozpoznani ze względu na swoją powierzchowność lub zadenuncjowani przez sąsiadów.

Drugie wyjście przebiegło nie bez emocji. Kiedy pytałam o cenę warzyw, jakaś chłopka spojrzała na mnie uważnie i krzyknęła do sąsiadki, że jestem na pewno Żydówką i że nie należy mi nic sprzedawać. Na pewno mój rosyjski akcent wzbudził w niej podejrzenia. Udałam, że nie słyszę, i poszłam dalej zrobić najważniejsze sprawunki poza zasięgiem wzroku tych chłopek. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu, ale nie powiedziałam nic Romkowi o tym zdarzeniu.

Trzecie wyjście o mało nie zakończyło się katastrofą. Po tym incydencie musiałam zrezygnować z chodzenia po zakupy. Przechodząc przez targowisko, udawałam spokojną, gdy wtem dwóch dość młodych jeszcze mężczyzn stanęło przy mnie. Moje serce zaczęło bić tak mocno, że bałam się, iż ktoś je usłyszy. Jeden z nich podszedł do mnie, uniósł moją woalkę, spojrzał mi w oczy i powiedział do kolegi po ukraińsku:

– To Żydóweczka!

Wybuchnęłam śmiechem, wzruszając ramionami, by dać mu do zrozumienia, że chyba oszalał, przypuszczając coś takiego. Oczywiście nic nie mówiłam. Drugi rzucił w odpowiedzi:

– No coś ty, idioto, przecież to taka ładna Polka.

Zostawili mnie w spokoju, a ja, nie spiesząc się, najkrótszą drogą wróciłam do domu.

Od tego momentu właściciel naszego mieszkania wziął na siebie kupowanie jedzenia dla nas, czym wyświadczył nam wielką przysługę. Zresztą targi powoli zaczęły znikać, ponieważ Niemcy rekwirowali wszystkie bogactwa Ukrainy. *Kornkammer*, „spichlerz Europy”, został opróżniony. Pojawiły się kartki na jedzenie, a wraz z nimi rozkwitł czarny rynek. Chłopi korzystali na tym, ponieważ mogli się wzbogacić. Polacy i Ukraińcy mieli takie same kartki, inne natomiast były kartki dla Żydów, którym przy-

służywały tylko głodowe racje żywności, ledwie wystarczające do przeżycia. Kartki te rozdawano w urzędzie miasta po zebraniu rejestrów, które administrator każdego domu musiał sporządzić, notując nazwisko, pochodzenie, zawód i wyznanie lokatorów, co pozwoliło na spisanie wszystkich mieszkańców miasta.

Zbliżał się dzień, w którym mieliśmy odebrać nasze kartki. Córka właścicieli, która administrowała naszym małym budynkiem, przyszła do nas z propozycją tak nieoczekiwaną i ujmującą, że brakło nam słów, by wyrazić wdzięczność. Składając tę propozycję, ryzykowała życie swoje i swojej rodziny. W jej rejestrze figurowaliśmy jako Żydzi. Zręcznie manipulując, można było wyjąć tę kartkę, a na jej miejsce włożyć nową, z naszymi nazwiskami bez dopisku „Żydzi”. Ale jej księga była już cała zapisana i nie miała wolnych stron. Córka właścicieli miała zatem udać się do przyjaciela, który prowadził podobną księgę, gdzie jeszcze było kilka wolnych kartek, wziąć jedną z nich, a następnie umieścić zręcznie na miejscu poprzedniej. Kolejny problem – należało przeprowadzić podobną operację w rejestrze magistratu, gdzie byliśmy zapisani. Jeden z jej przyjaciół, pracujący w urzędzie, w którym byliśmy zarejestrowani, człowiek godny zaufania i gotowy podjąć to ryzyko, zgodził się nam pomóc.

Z jednej strony perspektywa, że nie będziemy już figurować w rejestrach jako Żydzi, była bardzo kusząca. Uwolniłoby to nas od wielkiego ciężaru. Było to dla nas znacznie ważniejsze niż posiadanie kartek na większe porcje żywności. Z drugiej strony nie mogliśmy zaakceptować propozycji, która – zdawaliśmy sobie z tego sprawę – była tak niebezpieczna dla tych, którzy nam ją złożyli. Jednak rodzice tej pani i jej mąż tak nalegali, że w końcu z wdzięcznością zgodziliśmy się. Po wojnie próbowałam odszukać tych wspaniałych ludzi, ale niestety bezowocnie. Przeprowadzili

się i zniknęli, nie pozostawiając adresu. Z całego serca mam nadzieję, że żyją i że odnaleźli swojego syna.

Od czasu do czasu odwiedzali nas przyjaciele, przynosząc coraz bardziej przerażające wiadomości. Kolejne zniknięcia, łapanki, coraz surowsze prawa ograniczające niemal do zera nasze swobody obywatelskie. Naprzeciwko naszego domu mieszkała biedna rodzina żydowska z kilkorgiem małych dzieci. Oczywiście kartki żywnościowe nie wystarczyły, by mogli się wyżywić. Wiedzieli, że mamy normalne kartki i trochę się temu dziwili, ponieważ podejrzewali, że też jesteśmy Żydami. Ale o nic nie pytali i ja też nic nie mówiłam. Po prostu zanosilałam im moje racje żywnościowe. Zdawałam sobie sprawę, że nasi nieżydowscy sąsiedzi widzieli, iż daję im jedzenie. Nastalo lato, było bardzo gorąco. Okna były wszędzie otwarte, można było widzieć wszystko, co działo się u sąsiadów, i słyszeć ich rozmowy, ponieważ domki oddzielone były od siebie tylko wąskimi uliczkami...

W lipcu 1941 roku, miesiąc po inwazji niemieckiej, wprowadzono dekret nakazujący Żydom noszenie na prawym ramieniu, w dobrze widoczny sposób, białych opasek z gwiazdą Dawida. Za uchylenie się od tego groziła kara śmierci. Nasz fałszywy status aryjczyków teoretycznie zwalniał nas z konieczności noszenia opaski. Jednocześnie jednak wymagał, byśmy wychodzili z domu jak najnormalniej w świecie, by nie wzbudzać podejrzeń czy wręcz nie sprowokować jakiegoś donosu ze strony czujnych sąsiadów. Tymczasem, jak wspominałam, wąskie uliczki naszej dzielnicy i szeroko otwarte okna nie sprzyjały zachowaniu prywatności. Nasze zachowanie mogłoby się wydać podejrzane, gdybyśmy nie opuszczali domu. Nie powinno to wyglądać tak, jakbyśmy się ukrywali. Dlatego chodziłam z córeczką na spacer po okolicy, opowiadając, że mój mąż jest chory i nie może wychodzić. Od czasu do czasu jednak i on

ZILA RENNERT

musiał się pokazać. Zachowując największą ostrożność, korzystał z tych okazji, by odwiedzić ojca, który także się ukrywał w śródmieściu, obawiając się łapanek, ponieważ starsze osoby były najbardziej narażone. Nasze przedmieście było mniej pilnowane przez Gestapo, które działało przede wszystkim w centrum miasta.

Pojawiły się plotki, że w najnędniejszej, najbardziej zaniedbanej dzielnicy Lwowa ma powstać getto. Na razie Niemcy przeznaczyli tę dzielnicę dla wszystkich dobrze sytuowanych rodzin żydowskich, które wcześniej mieszkały w reprezentacyjnych częściach miasta, skąd zostały wysiedlone i pozbawione nie tylko mieszkań, ale też mebli i sprzętów kuchennych. Ogołoceni z całego dobytku, ci niegdyś żyjący w dostatku Żydzi zamieszkali w ścisku w pokojach sublokatorskich. Nie mieli nic, ponieważ nie pozwolono im zabrać żadnych bagaży. Już wcześniej w dzielnicy tej mieszkali przede wszystkim Żydzi, a wraz z napływem wysiedleńców znalezienie jakiegoś lokum stało się bardzo trudne. W każdym pokoju gnieździło się po kilka rodzin. Był to przedsmak getta, choć jeszcze daleki od tego, co mieliśmy poznać potem i czego nawet sobie nie wyobrażaliśmy. Biorąc to wszystko pod uwagę, zaczęliśmy się z Romkiem zastanawiać, czy nie lepiej poszukać mieszkania w dzielnicy żydowskiej, ponieważ życie w naszym ustroniu pod fałszywą tożsamością wydawało nam się bardzo niepewne. Ale i tak los zdecydował za nas, i to bardzo szybko.

Pewnego sierpniowego popołudnia mąż poszedł odwiedzić ojca, a ja zostałam z Iną. Nagle usłyszałam, że zbliżają się samochody ciężarowe, hałasując na kocich łbach uliczki, przy której mieszkaliśmy. Zaintrygowana i przestraszona podeszłam do okna i schowana za zasłonami, wyjrzałam na ulicę. Zobaczyłam, że wielkie zielone samochody Gestapo zatrzymują się przy naszym domu. Jakiś es-

esman w czapce z trupią czaszką wysiadł, sprawdził numer budynku... To tutaj. Kilku mężczyzn wysiada, dzwonią do drzwi. Moje serce zamiera, pokazuję córeczce, że ma się ukryć w naszej sypialni, która wychodzi na ogródek z drugiej strony domu. Ja stoję bez ruchu i oglądam jak zahipnotyzowana ludzi, którzy kręcą się przed domem. Ina chowa się w jakimś kącie i nieruchomieje bez słowa. Dzwonek odzywa się głośniejsze i dłużej, dzwoni niemal bez przerwy. Postanawiam nie otwierać. Ina także nie rusza się, nic nie mówi, o nic nie pyta. Wszystko rozumiała. Oficer niecierpliwi się, robi się wulgarny i krzyczy, żeby otwierać. W końcu słyszę głos właścicielki, która wygląda przez okno na piętze, szalenie zdziwiona, że ktoś jej przeszkadza. Esesman krzyczy do niej po niemiecku. Ona udaje, że nie rozumie, choć wiem, że włada biegle tym językiem, ponieważ uczyła niemieckiego w liceum. Esesman ciska się, bierze ją za starą idiotkę i każe tłumaczyć Polakowi, który mu towarzyszy. Ma rozkaz aresztowania Żydów, którzy u niej mieszkają. Kobieta gra niewinną:

– Ach, tak, byli tu jacyś Rosjanie, ale uciekli pierwszego dnia po wkroczeniu Niemców. Nie wiedziałam, że byli Żydami! To na pewno jakaś pomyłka...

Rzeczywiście jakaś rosyjska para mieszkała wcześniej w suterenie. Prawdę mówiąc, ledwie ich znałam. Nasza właścicielka tak świetnie udaje starą, przygłuchą i trochę ograniczoną starszą panią, że Niemiec traci cierpliwość, krzyczy, że wszystko sprawdzi i wróci, i wtedy ona będzie się miała z pyszną, jeśli skłamała.

Jak tylko odjechali, wiedziałam, co należy robić. Nie ma czasu do stracenia. Kiedy wrócą, właścicielka już nas nie uratuje. Co za dzielna kobieta! Co za charakter! Podczas gdy Ina pakowała swojego misia, towarzysza wszystkich niedoli, majteczki i skarpetki do torebki, poszłam na górę do właścicielki i bez słowa serdecznie ją uściśkałam.

ZILA RENNERT

– Szybko, uciekajcie, nie zabierajcie niczego, dostarczymy wam wasze rzeczy pod nowy adres...

Ale przede wszystkim należało uprzedzić Romka, żeby nie wracał. Powiedziała, że stanie na czatach, by nie podchodził do domu. W pośpiechu ubrałam się, zakładając kilka dodatkowych warstw bielizny. I znów, tak jak rok temu, w dniu w którym uciekliśmy z rosyjskiego transportu na Syberię, poszłam z córeczką, jej misiem i małą torbą, którą przygotowała, w stronę przystanku tramwajowego, bez oglądania się za siebie, bez jednej łzy, nie pokazując żadnych emocji. Bez problemu dotarliśmy do mojego teścia, który przeraził się na nasz widok. Ja z kolei bałam się, że Romek już od niego wyszedł. Na szczęście jeszcze tam był i dopiero wtedy nogi się pode mną ugięły. Na razie byliśmy razem, uratowani!

Romek mógłby ostatecznie zostać u ojca, ale nasza obecność zbyt naraziła Polaków, którzy go ukrywali. Wzięłam więc córeczkę za rączkę i udałyśmy się do jednego z naszych przyjaciół, Olka, sympatycznego inżyniera, którego poznaliśmy w czasie ostatniego pobytu w Zawoi. Mieszkał u rodziny i natychmiast zgodził się nas przyjąć. Wiadomość o naszej ucieczce bardzo szybko rozeszła się wśród znajomych, którzy szukali dla nas pokoju w dzielnicy żydowskiej, ponieważ nie chcieliśmy już żyć pod przybraną tożsamością jako aryjczycy. Wydawało nam się, że bezpieczniej będzie zachować prawdziwą tożsamość. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak naiwne było to myślenie... Ktoś znalazł nam małe pokoiki przy ulicy Rappaporta. Co za brutalna zmiana! Z naszego spokojnego przedmieścia, gdzie powietrze było tak dobre, trafiliśmy do hałaśliwej dzielnicy, po której krążył tłum ludzi, zaaferowanych i wylekniionych. Ludzie ci żyli bardziej na ulicy niż w domach, gdzie w każdym mieszkaniu tłoczyło się po kilka rodzin, które ciągle przechodziły z jednego pomieszczenia do dru-

giego i kłębiły się na schodach aż po trotuar. Nasi gospodarze, państwo Franklowie, mili i dyskretni, mieli trzy pomieszczenia w amfiladzie. Z klatki schodowej wchodziło się do kuchni, a przez nią do ich pokoju, gdzie spali z dwójką dzieci w wieku lat dziesięciu i dwunastu, a potem do naszego, tak maleńkiego, że mieściło się tam tylko jednoosobowe łóżko, na którym spałam z Iną. Romek sypiał na materacu położonym na ziemi. Woda bieżąca była w kuchni, nad małym zlewem, w którym na zmianę się myliśmy. Ubikacja była na klatce schodowej.

Pan Frankel pracował w fabryce niemieckiej, co uchodziło za wielkie szczęście. I tym razem córka naszych poprzednich gospodarzy znalazła sposób, by dostarczyć nam nasz skromny dobytek, przenosząc rzeczy po trochu na dnię torby na zakupy, kiedy tylko dowiedziała się, jaki jest nasz nowy adres. Dla bezpieczeństwa za każdym razem szła do nas inną drogą. Kiedy już przeniosła wszystko, powiedzieliśmy sobie „Do zobaczenia po wojnie...”. Ale byłam przekonana, że odpowiedniejsze byłoby słowo „Żegnajcie”. Kiedy całe to zamieszanie minęło, wróciłam tam, szukając jej. Na próżno. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, co się stało z nią i jej rodzicami. Pojawili się w naszym życiu niczym Opatrzność i zniknęli, nie pozostawiając śladu, poza trwaniem w mojej pamięci. Gdziekolwiek się znajdują, chcę ich zapewnić o mojej wdzięczności na zawsze.

Rezygnując z naszej fałszywej tożsamości, musieliśmy załatwić sobie opaski z gwiazdą Dawida. Dzieci i dorośli handlowali tym złowieszczym towarem, a każdy zachwalał swój produkt: opaski z materiału albo z celuloиду, łatwiejsze w utrzymaniu, lecz droższe. Kupiłam obie. Tę z celuloidu nosiłam w dzielnicy żydowskiej, a tę drugą – na mieście, gdzie czasem zdobywałam się na to, żeby ją zdjąć, schować do torebki i wsiąść do tramwaju. Na początku okupacji niemieckiej Żydom wolno było jeździć w drugim

ZILA RENNERT

wagonie tramwajowym, natomiast pierwszy był zarezerwowany dla aryjczyków. Ale bardzo szybko to pozwolenie zostało cofnięte, podobnie jak prawo siedzenia w parkach miejskich, a nawet przechodzenia przez nie czy chodzenia do kawiarni i na spektakle. Za każde przewinienie przewidziana była tylko jedna kara – śmierć.

W dzielnicy żydowskiej koszmar stał się codziennością. Dramat sąsiadów w jednej chwili mógł stać się udziałem każdego z nas. Musieliśmy się przyzwyczaić do codziennego bezpośredniego doświadczania piekła, bez chwili wytchnienia i bez nadziei na pobłażliwość. Wszystko było trudne, niepokojące, pełne napięcia, na ostatnim oddechu. Ale wystarczył jeden dzień bez łapanek, jeden przyjazny uśmiech nie-Żyda, by rozluźnić tę obręcz nienawiści i pogardy i żebyśmy poczuli radość i szczęście, że jeszcze żyjemy. Przyjaciele, którzy niemal wszyscy mieszkali w tej żydowskiej enklawie, odwiedzali nas teraz częściej. Gdy tylko nastawała chwila spokoju, już spotykaliśmy się, ciesząc się, że jesteśmy razem. Wystarczyło być Żydem, by ryzykować życie. Na celowniku znaleźli się przede wszystkim intelektualści żydowscy, a także polscy. Słynni profesoria uniwersytetu, lekarze, pisarze byli zatrzymywani i rozstrzeliwani bez procesu, często po torturach.

Akcje stały się mniej chaotyczne. Teraz były ukierunkowane na coraz to inną grupę ludności. Niemcy posługiwali się zawsze tą samą metodą: uśpić czujność i działać znienacka. Tak właśnie było w przypadku matki pani Frankel. Ta siedemdziesięcioletnia, jeszcze całkowicie sprawna kobieta codziennie odwiedzała córkę. Mimo naszych ostrzeżeń nie czuła się zagrożona, uważając, że ze względu na wiek nic jej nie grozi. Tego dnia jednak naziści łapali właśnie starsze kobiety. Nie mogąc doczekać się przyścia matki, pani Frankel zdenerwowała się i wybrała się do niej, mając nadzieję, że zastanie ją w domu. Usłyszała od sąsia-

dów, że jej matkę tak jak wiele innych starszych kobiet z tej okolicy zatrzymano na ulicy i załadowano na ciężarówkę, które wywoziły je w nieznanym kierunku. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wszystkie te osoby zostały rozstrzelane pod Lwowem, w osławionych Piaskach, na piaszczystych wydmach, które stały się miejscem natychmiastowych egzekucji.

Aby jeszcze skuteczniej ograbić Żydów, Niemcy wymagali od nich ogromnych kontrybucji. Zażądali stworzenia w obrębie wspólnoty żydowskiej rad⁴⁴, które miały określać wysokości danin w zależności od przypuszczalnego majątku rodzin. Choć pieniądze były dostarczane w wyznaczonym dniu, za każdym razem naziści wymagali nowych kontrybucji w złocie, futrach, meblach. Jednym słowem w tym, co kto posiadał. Jeśli danina nie została wpłacona na czas, Niemcy brali spośród członków rady zakładników, których więcej już nie widziano.

Jakiś Żyd wyszedł z domu bez zaświadczenia o pracy? W razie kontroli aresztowano go i wykonywano wyrok śmierci bez procesu. Trzeba dodać, że wszyscy Żydzi byli zobowiązani do pracy na rzecz Niemców i w związku z tym musieli posiadać kartę pracy. Ale rozmyślny sadyzm polegał na tym, że ausweisy te nie były automatycznie wydawane wszystkim pracującym. Jak więc zapewnić sobie ową legitymację, która była gwarancją przeżycia? Kupić fałszywą? Ale one nie mogły nikogo zmylić w razie trochę dokładniejszej kontroli. A wtedy winowajcę prowadzono za miasto i rozstrzeliwano. Wśród licznych fabryk, które pracowały na rzecz przemysłu niemieckiego, niektóre były

⁴⁴ Rady te, zwane Judenratami, były odpowiedzialne przed Niemcami za praktyczną organizację życia w getcie. Między innymi musiały zorganizować jednostki policyjne, *Jüdischer Ordnungsdienst*, których zadaniem było utrzymywanie porządku w getcie, a w późniejszym okresie musiały wyznaczać osoby do akcji deportacyjnych.

niezbędne okupacyjnej armii. Legitymacje wystawiane przez te fabryki były więc najbardziej cenione. By je załatwić, trzeba było jak zawsze płacić, słono płacić. Ale nie znaleźliśmy dojścia, by ją załatwić dla Romka. Tak więc prowadził on życie banity, z którego uciekał tylko w lekturę dzieł filozoficznych pożyczonych nam przez przyjaciół. Niektórzy z nich, posiadacze owych legitymacji, mogli nas odwiedzać. Ja wychodziłam, żeby zdobyć coś do jedzenia. Pożywienie było drogie i osiągało zawrotne ceny. Kupowało się je na czarnym rynku, w zakamarkach ciemnych mieszkań. A jeszcze trzeba było wiedzieć, w które drzwi zastukać, by cokolwiek kupić. Mój rosyjski akcent sprawiał, że Polacy brali mnie za Żydówkę, a kiepski jidysz czynił mnie podejrzaną w oczach Żydów. Uważali mnie za folksdojczkę, należącą do tych Polaków niemieckiego pochodzenia, którzy za okupacji zdecydowali się przyjąć na nowo obywatelstwo niemieckie i z tego względu korzystali z rozmaitych przywilejów przyznanych przez nazistów. Zresztą większość z nich stała się oddanymi kolaborantami. Oczywiście nie wszyscy. Nasz przyjaciel Meller na przykład wiele zawdzięczał panu K***, dyrektorowi fabryki, w której pracował. Pan K***, będąc folksdojczem, miał odwagę dać schronienie u siebie w Warszawie jemu i młodej Żydówce Celinie, którą później poznałam.

Zbliżała się jesień. Położenie Żydów we Lwowie, i tak trudne, stale się pogarszało. Niektórzy szukali schronienia na wsi, co było oczywiście zakazane, ale możliwe, jeśli podjęto się ryzyko zdjęcia opaski z gwiazdą Dawida. Zachęcani listami przyjaciół mieszkających w getcie w Bochni, gdzie według nich represje antyżydowskie były mniej dotkliwe, zdecydowaliśmy się do nich dołączyć. W 1941 roku nie było jeszcze masowych deportacji Żydów z gett i mieliśmy nadzieję, że ta sytuacja potrwa aż do końca wojny, który – jak wierzyliśmy – wkrótce miał nastąpić. „Na-

dzieja” to magiczne słowo, które pozwala przeżyć... Natomiast teść wołał pozostać we Lwowie, gdzie czuł się względnie bezpieczny dzięki fałszywemu paszportowi amerykańskiemu, który bliscy załatwili mu w 1939 roku. Niemcy zadeklarowali, że dekrety antyżydowskie nie mają zastosowania wobec Żydów obywatelstwa amerykańskiego, niemniej jednak rygorystycznie kontrolowali ich paszporty, ponieważ zdarzały się fałszywe dokumenty, które ludzie załatwiali sobie za grube pieniądze.

I tak nadszedł tragiczny dzień, kiedy to teść – tak jak jego przyjaciele, również zaopatrzeni w fałszywe paszporty amerykańskie – został wezwany przez Gestapo w celu kontroli tożsamości. Romek błagał go, żeby tam nie szedł i natychmiast wsiadł w pociąg do Warszawy, gdzie łatwiej byłoby mu się ukryć i załatwić sobie polskie papiery. Nie musiał nosić opaski, a jego paszport amerykański, choć fałszywy, był wystarczający na podróż koleją. Na próżno! Jakaż to przesadna wiara w moc owych fałszywych dokumentów spowodowała, że z własnej woli wszedł do paszczy lwa i postanowił już następnego dnia poddać się kontroli?

Noc pełna koszmarów, ranek oczekiwania, które było nie do zniesienia... Późnym popołudniem zdecydowałam się pójść do jego przyjaciół. Ostrożnie otworzono mi drzwi. Przeżyłam chwilę szalonej nadziei, widząc, że przyjaciel teścia tam jest, ale jego mina nie zapowiadała niczego dobrego. Ledwie odważyłam się zapytać, co się dzieje. Powiedział, że ojciec Romka został zatrzymany. Przesłuchiwano go bardzo długo, a potem wyprowadzono w eskorcie dwóch esesmanów. Przechodząc obok przyjaciela, teść zrobił znak rękoma, dając mu do zrozumienia, że wszystko stracone. Podobno wyglądało to strasznie. Było to pierwsze nieszczęście, które dotknęło nas w samo serce, i byłam tym kompletnie załamana. Obawiałam się zanieść tę

ZILA RENNERT

wiadomość mężowi. Powoli, wbrew sobie, skierowałam się do domu. Romek, kiedy tylko mnie ujrzał, zrozumiał, co się stało. Nie wolno było płakać; należało natomiast jak najszybciej działać.

Przyjaciel teścia dał mi adres Polaka, który był w kontakcie z Gestapo. Udałam się do niego zaraz następnego dnia, błagając go, by nam pomógł. Widząc mą rozpacz, podał mi nazwisko pewnego wysokiego funkcjonariusza Gestapo, do którego można się było zwrócić bez zbyt wielkiego ryzyka. Zadzwoiłam do drzwi Obersturmbannführera⁴⁵ SS Lazera. Już nawet nie czułam strachu, chodziło mi tylko o to, by wydostać teścia z więzienia. Oficera nie było, musiałam pójść do niego następnego dnia. Znowu oczekiwanie ciągnące się w nieskończoność. Tego samego wieczoru udałam się do bardzo milej Polki, u której mieszkał mój teść. Była jej bardzo przykro z powodu tego, co go spotkało. Nie miała nic przeciwko temu, bym zabrała z mieszkania to, co do niego należało. Trzeba było zachować daleko idącą ostrożność, przenosić tylko małe pakunki na dnie torby na zakupy, tak jak to zrobiła kiedyś córka naszych poprzednich gospodarzy. Kiedy zapadał zmierzch, robiłam więc kolejne kursy. W końcu nadszedł dzień, kiedy miałam pójść tam po raz ostatni. Ten właśnie dzień wybrało Gestapo na przeszukiwanie budynku. Policjanci weszli do mieszkania. Byłam przekonana, że przyszli po rzeczy teścia. Udawałam, że jestem bardzo spokojna i że przyszłam z wizytą. Gospodyni, także bardzo opanowana, zapytała oficera, o co chodzi. Faktycznie szukał Żyda, ale o innym nazwisku. Tylko omiółł wzrokiem mieszkanie i poszedł na następne piętro. Ja tymczasem powoli zesłam na dół. Nie wiem, jakie bolesne przejścia były udziałem tej kobiety, nic mi o tym nie powiedziała, ale uśmiechnęła się

⁴⁵ *Obersturmbannführer* – podpułkownik.

do mnie, życząc mi szczęścia. Co za kobieta – odważna, szczodra i szlachetna... Moje spotkania z Polakami podczas wojny były zupełnie inne niż wcześniej. To dzięki kontaktom z takimi właśnie bezinteresownymi nieznanymi ludźmi ja i moja córka mogłyśmy przeżyć.

Wśród rzeczy teścia było kilka wartościowych przedmiotów, między innymi papierośnica z litego kruszcu, złoty zegarek i kilka bransolet oraz obrączek, zręcznie wszytych w ortopedyczny pas brzuszny. Wiedzieliśmy, że teść miał także dwa wielkie diamenty oraz dewizy, ale nie udało mi się ich odnaleźć. Przyniosłam natomiast – to stanowiło prawdziwy skarb – dużo mydeł słynnej wówczas w Rosji marki Teja, pięć kilo grysiku, którym podzieliliśmy się z państwem Frankel, oraz futro z soboli.

W tym czasie, tak jak było przewidziane, ponownie poszłam do SS Lazera, Obersturmbannführera Sicherheitspolizei⁴⁶. Zajmował piękny, luksusowo umeblowany apartament nieopodal kwatery głównej Gestapo. Czekałam w jego biurze, siedząc we wspianym fotelu. Wszystkie meble i obrazy były dobrane ze smakiem. W salonie obok kilku robotników rozwijało dywan, spokojnie rozmawiając. Nie nosili opasek. Dużo później – kiedy poznałam jednego z nich, który stał się jednym z naszych najwierniejszych przyjaciół – dowiedziałam się, że byli Żydami⁴⁷.

⁴⁶ *Schutzstaffel* (eskadra ochronna, inaczej SS) – formacja paramilitarna, której zadaniem było początkowo ochranianie zgromadzeń partii nazistowskiej; po jej dojściu do władzy stała się zmilitaryzowaną policją, w 1940 roku przekształcona w elitarne jednostki bojowe *Waffen SS*. Gestapo było organem wykonawczym należącej do SS Policji Bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*, inaczej Sipo) i wydziału wywiadu, kontrwywiadu i służby bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*, inaczej SD).

⁴⁷ Chodzi o Michała Borwicza. Urodził się w Krakowie w 1911 roku. W 1936 roku skończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Opublikował wiele artykułów krytycznoliterackich oraz książki, które napisał pod wpływem norymberskich ustaw rasowych. Był więźniem Obozu